

# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

## Hektor Berlioz.

W roku bieżącym upływa 110 lat od chwili kiedy w małej miejscowości La Côte pod Grenoblą we Francji ujrzał światło dzienne znakomity muzyk i kompozytor Hektor Berlioz.

Pochodził z rodu starego, który od XIII-go wieku zajmował wybitne stanowisko tak w miejscu swego urodzenia jak i w pobliskiej Grenobli.

Ojciec jego, lekarz o głębokim umyśle i olbrzymiej wiedzy, wszystkie chwile wolne od zajęć poświęcał synowi, sam kształcił go w naukach, czytając i tłumacząc mu dzieła najwybitniejszych autorów. Między lekcjami uczył małego Hektora grać na gitarze i fleżolecie, a chłopiec od razu okazywać zaczął olbrzymie zdolności do muzyki.

Z początku nauki pobierał w seminarjum w La Côte, głównie jednak wykształcenie jego uzupełniał ojciec.

Nadzwyczaj wrażliwy i nerwowy, już od lat dzieciennych przejmował się czytаныmi utworami i silnie zachwyił się wspaniałą Enejdą Wirgiljusza.

Wczytując się w wspaniałe dzieła, chłopiec nie pomijał również powieści fantastycznych i ciekawych przygód, treść których zajęła go do tego stopnia, że sam zaczął marzyć o dalekich wycieczkach i awanturniczych przygodach.

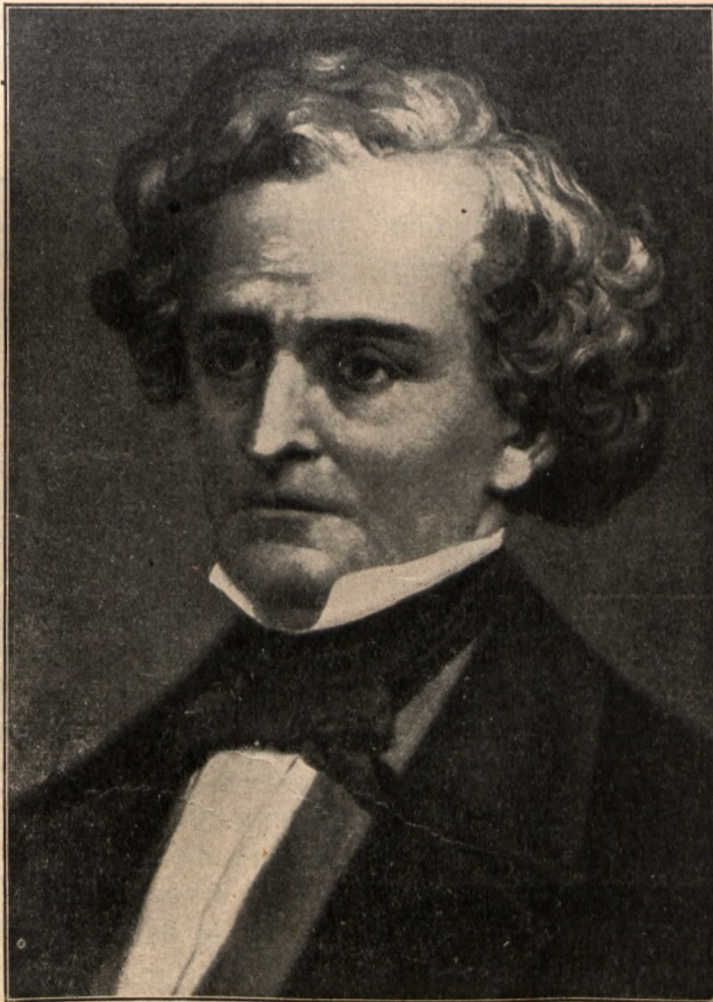
Często wypoczywając w cieniu olbrzymich dębów u stóp gór w Saint Eynard, wsłuchiwał się w śpiew ptasząt i snuł swoje rojenia, które jego młodą duszę odrębnym od zwykłego otaczały światem.

Jednak myśl o zdobyciu sławy i poświęcenia się jedynie muzyce, nie opuszczała go nigdy. Nie mając fortepianu w domu, wydoskonalił się w grze na gitarze i flecie, wygrywając ze słuchu różne głosy, chwytane w obcowaniu z naturą. Mając lat trzynaście skomponował utwór na temat włoskich arji, potem zaś napisał parę kwartetów i pieśni do słów Lafontaine'a. W kilka lat potem przyjechał do Paryża i tam został w konserwatorjum, pracując dalej często o głodzie, bo ojciec odmówił mu pensji miesięcznej, nie mogąc nakłonić syna aby się poświęcił medycynie.

Niezbyt szczęśliwy w pożyciu rodzinnym, pogrążony w nieustannej pracy nad tworzeniem kompozycji, które mu wreszcie przyniosły zasłużoną sławę, dożył lat 66-ciu. Umarł w Paryżu długą nerwową chorobą trawiony. Wspaniałe jego dzieła są przechowa-

ne dotąd i cenione, rzadko jednak wykonywane z powodu wielkich trudności w układzie kompozycji.

Marja Poraska.



Hektor Berlioz.



# NIGDY!!!

3)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

— Niebezpieczeństwo nie, ale przykrość rozmowy z wysłańcami cesarza Aleksandra.

— Czy i mnie do nich zaliczasz?—spytła rozdrażnionym głosem hrabina.

— Nie, ciebie zaliczam do najtroskliwszych z sióstr na świecie, które dla rzekomego ocalenia mnie i wydzwignienia z niebezpieczeństwa tłumi nawet w sobie uczucia polki. Gdybyś bowiem nie podzielała moich zapatrywań i uczuć dla narodu i ojczyzny przestałbym nazywać cię siostrą.

Hrabina spuściła głowę, z oka jej łza spłynęła.

Księżę dłoń jej uściskał.

— Wiesz, kochana siostró, jaka plama leży na naszym nazwisku, gdyby nawet nie miłość ojczyzny i obowiązek wodza, spoczywa na mnie obowiązek zmycia plamy, jaką nam ukoronowany stryj zostawił.

Hrabina szybkim ruchem skłoniła głowę i złożyła pocałunek na ręce brata.

— Ciężar mi z serca spada, wiedz o tem, że jestem i będę zawsze nie odrodną twą siostrą, czułam się jednak w obowiązku przygotować cię do wizyty, jaką w tych dniach masz odebrać.

— Wyczułem to w twej rozmowie, otóż powiem ci to, co już powiedziałem hr. Tolłowi przed wojną.

Pani Teresa zwróciła pytające oko na brata.

— Wysoko sobie cenię łaskę najjaśniejszego cesarza Rosji; przysięgi jednak danej naszemu narodowi nie złamię: Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam.

## II.

### DUKAT.

Wieści, jakie zaczęły rozchodzić się po całym kraju o strasznej klęsce armii Napoleona, były tak straszne, iż z początku nie chciano im wierzyć.

— Co, wielka armia mogłaby być rozbita?!... Taki wódz, jak Napoleon, mógłby na to pozwolić?!

— To bajki! Nie dawno przysły wieści o zwycięstwach, a teraz miałyby być klęska! — mówili zwolennicy wielkiego cesarza.

— I największemu wojownikowi może się noga powinąć... — odpowiadali niechętni, lub ci, którym zabieranie mienia przez przechodzącą armję doskonale dało się we znaki.

Gdy ktoś wspomniał, że głód i mróz przyczyniły się do klęski, mówiono:

— Oho, francuz to chytry żołnierz, znalazł on pożywienie i ciepły przyodziewek, choćby pod śniegiem!...

Przypominano bowiem sobie przetrząsanie najtajniejszych skrytek i zabieranie wszystkiego co popadło pod rękę, przez armję Napoleona, prowadzącą wojnę z Rosją.

Pod mianem zaś „francuz“ miano na myśli wszystkich sprzymierzonych z Napoleonem, mówiących językiem niezrozumiałym dla ogółu.

— Prowadził ich tyle, obiecywał złote góry, zdierał z nas skórę, a teraz miałyby być klęska — utrzymywali, spodziewający się jakiegoś wynagrodzenia za straty jakie ponieśli podczas przejścia wielkiej armji.

Żywili też jaką taką nadzieję ojcowie i matki, których synowie poszli za wielką armją z księciem Józefem, u których fantazja i wiara, że spełniają posłannictwo odrodzenia kraju, majaczyła dotąd w umyśle i sercu tych, co oddawali najdroższe swe skarby na ofiarę ojczyźnie.

Niejedna matka popłakiwała w skrytości, niejednen ojciec nie mógł myśli oderwać od ukochanego syna, który żegnając się z nimi, obiecywał wrócić zwycięzcą.

Więc chociaż im serce kołatało bólem, chociaż niepokój pierś rozsadzał, krzepili się wzajem mówiąc:

— Choćby się Napoleonowi noga powinęła, to księżę Józef nie da nas na zgubę.

I tą otuchą krzepiono się.

Krzepiono i wyczekiwano.

A wieści gnane zimowym wichrem, spadały jak śnieg sypiący drobnymi płatkami, a usypujący wielkie, zamarźle zaspasy...

Aż wieści te potwierdziły zmarźle i zgłoniałe resztki wielkiej armji.



I jedni wracali otuleni w futra mimo to przeziębli i zgłodniali, inni w resztki nieopisanego kroju odzieży. A zdarzali się i tacy, którzy zamiast płaszcza, mieli narzucony dywan, ornat lub kapę przez duchownych używaną.

Wszyscy zaś mieli pookręcane szmata-mi, a mimo to odmrożone nogi, od których palce odpadały.

Wszyscy zaś byli tak zgłodniali, iż rzucałi się na najprostrze jadło, jak wygłodniałe wilki.

Jeżeli zaś który mógł przemówić, klął na czem świat stoi i opowiadał bełkocąc o klęsce. Tego naturalnie ogół nie mógł zrozumieć, nie znając mowy tych co wracali.

Każdy zaś z tych niedobitków, czy to pod kosztownem futrem, czy pod łachmanami, krył zrabowane w Moskwie i po innych rosyjskich miastach i wsiach złoto i kosztowności.

Nie rozgrzewały one mrozu, który onego, 1812 roku trapił ich już od początku października, nie roztapiały bezmiernych śniegów, nie dawały ani kropli rozgrzewającego napitku, kęsa chleba. Skrywali jednak skrzętnie zdobyte skarby, marząc, iż za powrotem do kraju, będą mogli używać.

Jeżeli który z tych nędzarzy-bogaczów, wśród swoich pięknych marzeń, zasnął snem wiecznym na śniegu, mógł być pewny, że towarzysz nie usypie mu wprawdzie mogiły, lecz zabierze doszczętnie skrywane złoto, aby mu ulżyć przy przejściu do lepszych światów.

I takie to niedobitki zjawiały się najpierw w całej Litwie, a potem rozlewały po całej Polsce.

Czasami zjawiał się jakiś nieszczęśliwy polak znajdujący się w cudzoziemskim pułku, tych jednak było niewielu.

Wtedy mówiono z głębokim przeświadczeniem:

— Naszych, książę Józef nie dał na zatracenie.

— Naszych, książę Józef przywiedzie.

I krzepiąc się tą otuchą, wyczekiwano.

Aż w połowie listopada zjawili się ci oczekiwani.

Zjawili się zbiedzeni, znędniali, chorzy, głodni, ledwie wlokący ducha.

Ale zjawili się w jakim takim porządku, otaczani opieką dowódcy.

Wprawdzie była ich zaledwie garstka i zaledwie jedna matka na sto była tak szczęśliwa, że odnalazła syna. Inne miały tę pociechę, że dowiadywały się o ostatnich chwilach swoich ukochanych.

Aż oto tę garstkę odprowadzono do Wilna.

Tu mieszkańcy o ile niechętni byli cudzoziemcom, zgotowawali dla swoich serdeczne przyjęcie.

Każdy, co mógł oddawał, każdy choćby najbiedniejszy, uważał sobie za nadzwyczajną łaskę, jeżeli mógł dać przytułek chociażby jednemu z wracających.

Wilno się zaludniło.

A gdy po kilku dniach wypoczynku, ten i ów z przybyłych przyszedł jako tako do siebie, począł zaraz próbować zardzewiałego w podróży pałasza, mówiąc:

— Oho, to nie koniec, niech jeno nadzieje wiosna, Napoleon przyjdzie, książę Józef wyzdrowieje i pójdziemy!...

Kobiety słuchając tego popłakiwały. Starzy, z których niejeden odbył już kampanję w odległych stronach z wielkim cesarzem, uśmiechali się, a młodzież, ba, nawet niedorośliki słuchali z roziskrzonymi oczyma.

Słuchali, poszeptując coś z przybyłymi.

A dziewczęta naradzały się pocichu i obiecywały im szyć bieliznę na drogę...

Aż wkrótce zjechał i książę Józef.

Zjechał chory i wycieńczony, lecz zgromadził resztki i przemówił:

— Dzielni moi towarzysze niedoli! Nie traćcie ducha, dużoście wycierpieli, lecz przy pomocy Boskiej, gdy wyzdrowieję, będziemy dalej bronili ojczyzny i powetujemy poniesione straty!

— Powetujemy!

— Niech żyje książę Józef! — odkrzyknęto z zapalem.

Lecz książę Józef nie mógł być na razie z wojskiem, a wieści o zbliżających się siłach rosyjskich zmusiły resztki wojsk naszych do opuszczenia Wilna pod dowództwem generała Izydora Krasieńskiego.



STANISŁAW BEŁZA

## NAD ŻŁOTYM ROGIEM

TOM I.

## WSTĘP.

I Bukareszt, i Peszt, i Odessa, uważane są pospolicie za przedmieścia Konstantynopola.

Co się Pesztu tyczy, to orzeczenie to uważam za niewłaściwe.

Być może, że kilkadziesiąt lat temu, gdy stolica Węgier wyróżniała się od miast innych na Wschodzie jedynie położeniem, zabudowaną przecież była starymi domami, pamiętającymi nad „pięknym, modrym Dunajem“, panowanie księżycy, być może, że wtedy Peszt zarywał coś nie coś z tego charakteru, jaki jest znamiennej cechą perły Żłotego Rogu, ale dziś, kiedy dzięki fortunemu zbiegowi okoliczności, wyśrubował się na to co Niemcy „Weltstadtem“ nazywają, i nie tylko dorównał, ale pod niejednym względem przewyższył nawet Wiedeń, dziś za przedmieście Konstantynopola stanowczo uważanym być nie może.

Każdy też kto był na tysiącletniej wystawie węgierskiej, przyglądał się szerokim i wspaniałym jego ulicom, podziwiał kokieterijne fasady jego pałaców, jeździł podziemnymi elektrycznymi tramwajami, i z racy uroczystości narodowych, brał żywy udział w publicznym jego życiu, każdy przyzna, że jeżeli jest już mowa o jakimś charakterze, to Peszt jest dziś miastem bez żadnego wogóle charakteru, jak Paryż, jak Wiedeń, jak Berlin, gdzie się stare bez miłosierdzia na ziemię wali, bo w nowoczesnym życiu przeszkadza, ale gdzie wszystko co się nowego stawia, jak dwie krople nieledwie wody, jest podobne wszędzie do siebie.

Mówcie zatem, że Peszt jest miastem w całym znaczeniu tego słowa wspaniałem, bardzo dobrze, gdyż to się z prawdą nie mija, ale nie powtarzajcie za pisarzami z epoki Lamartine'a, że pomiędzy nim, a padyszacha stolicą, zachodzi dziś jakikolwiek związek.

Związku żadnego nie ma, to co tu i tam teraz się znajduje, w stosunku najmniejszego podobieństwa do siebie nie pozostaje, i Peszt w obecnej chwili, zalicza się do miast na wskroś wielkoeuropejskich, gdzie charakteru wschodniego nie znajdzie na lekarstwo.

Jakiś zapomniany meczet w Budzie, tablica z napisem tureckim w łaźni publicznej, fez na głowie przechadzającego się przybysza z nad Bosforu, w cieniowych alejach wyspy Małgorzaty, oto wszystko, ale to wszystko tonie w obcym morzu, zaciera się na tle innej kultury.

I ta kultura inna panuje też tu wszzechwładnie, wyciska na wszystkim swój wyraźny stempel, podciąga wszystko pod jeden strychulec, i do każdego kto tu jest, przemawia tym donośnym głosem, jaki się słyszy nie na granicy dwóch światów, bynajmniej, ale w środowisku świata odmiennego, żyjącego innym życiem, mającego ideały inne.

I o Odessie, tem trzecim jakoby przedmieściu Konstantynopola, mniej więcej to samo dałoby się powiedzieć. ale Odessa, choć miasto młode, jako takie, mające charakter miast powstałych nie w naturalny sposób, prędzej już niż stolica Węgier, na to określenie zasługuje.

Bo po pierwsze, leży prawdziwie już na Wschodzie, podczas gdy dopiero tak nazwana jeszcze przez Rzymian, a do dziś istniejąca w Węgrzech „Porta Orientalis“, ociera się o Rumunję, a powtóre, jest bliższą niż Peszt Konstantynopola, w częstszych stosunkach z nim pozostaje. A prztem, jest o wiele od Pesztu biedniejszą, ma proste i szerokie co prawda ulice, ale nie ma na nich takich jak on monumentalnych i wspaniałych budowli, mniej tu niż tam tego komfortu, obcego zupełnie wschodowi, za to bez porównania więcej nieporządku i brudu, z jakimi w Konstantynopolu i na Wschodzie spotyka się

co krok. Jeśli więc dodamy do tego port, rojący się od setek bark i statków, prujących bezustannie powierzchni Morza Czarnego w kierunku od Bosforu ku Dnieprowym Limanom i tę właściwą wszystkim na świecie portom ludność odrębną, która, jak tu, jest w znacznej części ludnością wschodnią, to z zastrzeżeniami niezawodnie, ale już bez porównania prędzej zgodzimy się na to, że orzeczenie, iż Odessa jest Konstantynopola przedmieściem, zawiera w sobie część prawdy. d c. n.



DZIECKO

(Z typów ulicznych Konstantynopola).



# Tajemnica starego zamczyska.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW, PRZEZ AD. KONECZNĄ.

Gałęzie chmielu i dzikiego winogrodu wspinały się po pniach, zwieszając się fantastycznymi wieńcami, z burzanów i traw wyzierały rumianki, dziewanny, macierzanki i duże, sino-różowe kwiaty bodziaków. Motyle spały, ptactwo sadowiło się do snu, tylko żabki z poblizkiego moczaru monotonnym odzywały się chórem. Halina zadumała się patrząc.

Tymczasem Olanka ukończywszy zajęcie zbliżyła się do swej panienki.

— Cóż, paniusiu moja złota — zapytała stanąwszy obok niej — jak się podobają Jarówce? Czy ładniejsze od naszej Wólki?

Wólka miłsza, moja Olanko — odrzekła Halina — my z tobą w Wólce wychowywałyśmy się i wyrosły, ale i tu z czasem będzie nam dobrze! A ty bardzo tęsknisz za Wólką i za swoimi?

— Za jakimi tam swoimi, paniusiu? Jam zupełna sierota, przygarnęła mię, zaledwie od ziemi odrosłam nasza dobra pani, obie z paniusią chowałyśmy się przy niej i tęskno by mi było wtedy chyba, gdybyście mię w Wólce zostawiły! Tam mój dom i moja rodzina gdzie paniusia i pani!

Halina z wdzięcznością spojrzała na dobrą dziewczynę, w której żywych, czarnych oczach świecił wyraz serdecznej szczeroty i przywiązania.

— A w ogrodzie paniusia jeszcze nie była? — spytała znów Olanka.

— Nie byłam, jutro pójdę, ale mię więcej zaciekawiają ruiny starego zamku, i tam też jutro koniecznie pobiegnę!...

— O, niechże paniusię Bóg od tego zachowa! — z przestachem zawołała Olanka — tam chodzić nie można! Tam coś straszy! Tam zło jakieś płącze się po murach!

Halina zaśmiała się wesoło na widok przerażenia Olanki.

— Nie bądź przesadną, moja droga! — rzekła uspokajając — Ludzie cię tu umyślnie straszą dla własnej zabawy, a ty im wierzysz! Nic tam nie ma w zamczysku i nic być nie może!

— Mnie ludzie straszą, panienko? O jak paniusię kocham, na własne uszy słyszałam tam jakiś głos, w tem zamczysku!

— To zapewne sowy albo puszczyki...

— Nie! proszę niech panienka posłucha, ja opowiem. Na drugi dzień po przyjeździe do Jarowiec, ustawivszy tu z pomocą tutejszej służby meble, byłam bardzo zmęczona, pod wieczór więc myślę sobie, zajęcie moje skończone, do wieczery pozostała jeszcze godzina, pójdę i wykąpię się w rzeczce, omyję się z pyłu i ochłodzę. Tak też i zrobiłam i pobiegłam, a wyszedłszy z kąpieli odświeżona i rzeźwa, jeszcze poszłam przejść się do lasku. Widzę, okopy jakieś, porozwalane mury, tylko sterczy jedna ściana, a nad nią wieża bardzo wysoka, po gruzach rosną burzany, po-

wójka się wspina. Podchodzę bliżej, cicho, głucho, i już zaczyna się ściemniać, tylko księżyc wschodzi. Chodzę ja sobie po tych murach, a rozglądam się dookoła...

W tem słyszę, westchnienia jakieś, jęki... aż mi się włosy zjeżyły na głowie, a dalej coś mruczy, niby się modli i najwyraźniej dolatują mnie słowa najszej modlitwy „Bohorodyce Diwo! radujsa obradowanna Marija!“

Ech! jak skoczę ja stamtąd, paniusiu, jak pocznę biedz, a lecieć, lecieć, tom odetchnęła dopiero znalazłszy się w czeladnej izbie!

— No, i czegoż uciekałaś? — z uśmiechem zawołała Halina. — Od słów modlitwy którą codziennie odmawiasz, uciekałaś? Już kto się modli, złych zamiarów niema, tam pewno jaki żebrak stary na nocleg się schronił...

— O nie, nie! Nawet żebracy wiedzą, że do tych murów zbliżać się niebezpiecznie! Opowiadają, że jeden kozak dworski przez ciekawość poszedł błąkać się w tych murach, i znikł, dotąd nikt nie wie gdzie się podział.

— Umknął zapewne!

— A to by go może dziedzic odnaleść kazał...

— O!... bardzo też stryja w jego boleści obcho-dzić może ucieczka tego człowieka...

— To by się tem zajął pan major! On tu we wszystkim zastępuje dziedzica... a znów jak paniusia to wytłómaczy, że kilkoro już ludzi widziało jakąś postać białą w nocy pośród tych murów. Są tacy którzy widzieli tam z ziemi wychodzące światło...

Olanka wszelkich starań dokładała, aby odjąć Hali chętkę oglądania starego zamku, nie wiedziała, że ją swem opowiadaniem coraz więcej zaciekawia i, że ruiny zamczyska występując przed jej wyobraźnią tak zagadkowo tem samem stokroć silniej ją pociągają. Wychowana przez ciotkę, kobietę rozsądną, Halina, o ile głęboką posiadała wiarę, o tyle daleką była od przesądnych baśni, o zjawiskach cmentarnych i upiorach, lecz te baśnie wprowadzały ją na domysły niejasne, pełne nieznaných tajemnic, przeto postanowiła w myśli zaraz jutro pójść obejrzeć zwaliska zamku, na dziś dość już miała nowych wrażeń, pragnęła ciszy i spoczynku.

— Już się rozbiorę i położę — rzekła do Olanki — tylko wpierv odmówię paciorek i zjemy z sobą razem te maliny.

Olanka gdy usłyszała te słowa dopomogła swej paniencie oswobodzić się z przyciasnej sukni i bucików, narzuciła na jej śliczne, białe ramiona lekki muślinowy neglig, podała małe, złotem szyte pantofelki i rozplotła jej przepyszne warkocze, aby je na noc przyczesać i ułożyć.



# Krzyżtopór.



Zamek Krzyżtopór ze strony zachodniej.

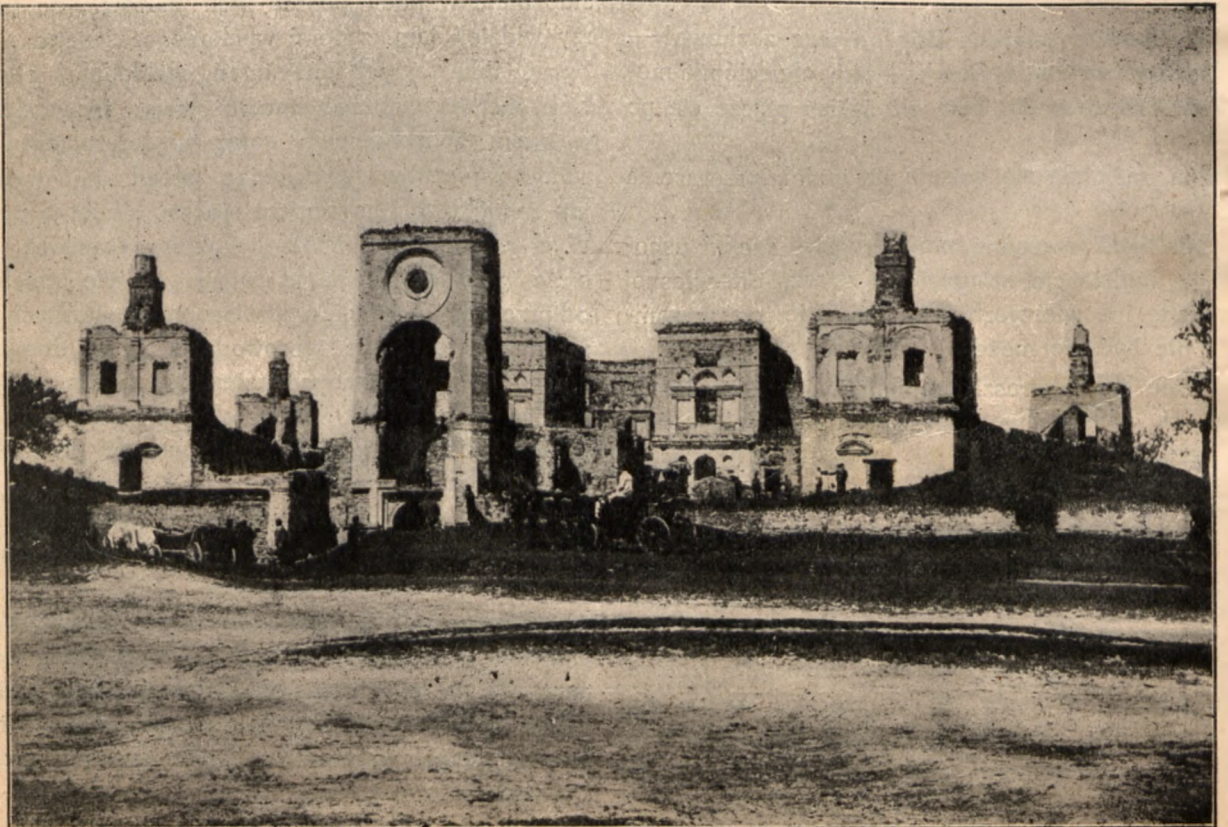


rzędzie najpiękniejszych i najokazalszych zamków na rozległych ziemiach polskich, jedno z pierwszych miejsc zajmuje Krzyżtopór w sandomierskiem, we wsi Ujeździe położony.

Zamek ten zbudował Krzysztof z Tęczyna Ossoliński, wojewoda sandomierski, potomek starożytnych Toporczyków, senator Rzplitej, a brat Jerzego, wielkiego kanclerza.

A nie żałował już kosztów j. w. wojewoda, bo 3 miliony złp. kosztowała go ta rezydencja, urządzona z niesłychanym przepychem: „łśnił zamek od złota, kryształów i marmurów”. Nawet żłoby w olbrzymich stajniach do dwustu koni pomieścić mogących, były wyłożone marmurem. Na czterech potężnych basztach, wznosił twórca zamku, mistrz Wawrzyniec Senes, różne figury alegoryczne, a nad wielkimi salami umieścił zbiorniki wody o kryształowych dnach, tak, iż spojrzawszy w górę można było widzieć pluskające się w wodzie złote rybki i inne „dziwy morskie”.

Lecz nietylko możny i butny Krzysztof z Tęczyna dbał o to, aby olśnić zadziwić wszystkich wspaniałością i krezusowym iście bogactwem swej siedziby, bo i plan zamku był niezwykle: przedstawiał bowiem



Zamek Krzyżtopór ze strony południowej.



skamieniały rok: baszt było 4, jako cztery są kwartały, sal wielkich 12, ile miesięcy, komnat 52, ile tygodni, a okien miał 365, ile dni w roku.

Zamek położony na splantowanych z południa i podmurowanych z północy wzgórzach, ma formę prawidłowego pięcioboku, a na każdym z jego narożników był bastjon mieszczący w sobie małe pokoiki. Zbudowany w stylu późnego włoskiego renesansu sprawia na przybywszu nadzwyczaj miłe wrażenie.

Wjazd do tej pięknej rezydencji Ossolińskich prowadzi po kamiennym moście rzuconym przez fosę, i przeszedłszy przez bramę wjazdową, na której umieszczony jest olbrzymiej wielkości krzyż i topór (wykute z marmuru godła zamku), nad bramą tą widniał przed laty napis:

„Krzyż obrona, krzyż podpora  
Dziatki naszego topora“.

Wchodzimy na podwórzec zamkowy i oczom naszym przedstawia się w całej swej okazałości pałac, na fasadzie frontowej którego, mieściły się między oknami nisze, a ponad nimi medaljony, wyobrażające krewnych właściciela zamku jak ks. Lubomirskich, Firlejów, Sobieskich, Tarnowskich, Chodkiewiczów, ks. Sapiehów, hr. Lanckorońskich, ks. Radziwiłłów, Zebrzydowskich, Oleśnickich, ks. Wiśniowieckich i innych przedstawicieli najprzedniejszych rodów polskich.

Na tej samej fasadzie nad drugim piętrem Krzysztof z Tęczyna, a pan na Krzyżtoporze kazał umieścić napis:

„Ojczyźnie mey Polskiewy, woiewodztwu sandomierskiemu, braci mey miley, w honor domu ich Krzysztofh na Tenczynie Ossoliński wojewoda sandomirski wystawił 1644“.

Zamek ten, ta chwała i chluba dumnych Ossolińskich, miał wieki przetrwać i przyszłym głosić pokoleniom, jak wielcy i możni byli Ossolińscy, stał nieknięty na tej żyznej, mlekiem i miodem płynącej ziemi sandomierskiej lat tylko jedenaście.

Król szwedzki Karol Gustaw „jak jastrząb zawisł nad bezbronną Rzeczypospolitą“ i zburzył prawie zupełnie Krzyżtopór, choć był on „*elegantissima et fortissima arx*“, jak mówi Puffendorf, kronikarz Karola Gustawa, lecz „przepych zamku był dlań wyrokiem zagłady“.

Reszty dzieła zniszczenia dokonali konfederaci barscy, którzy niebacznie zapruszyli tu ogień.

Jedno tylko skrzydło trzymało się dość długo, bo 1830 r. było jeszcze zamieszkałe. Obecnie wszystko leży w gruzach.

To cacko, „ów cud świata“, to „ukochane dzieło“ butnego wojewody, ongi goszczące w swych komnatach najznamienitszych mężów ówczesnej Polski, dziś świeci pustką i głuszą; czasami tylko okoliczne ziemiaństwo zjedzie tutaj tłumnie na wycieczkę; rojno i gwarno wówczas na podwórku zamku Krzysztofa Ossolińskiego, młodzież puszcza się w pląsy wesołe, i przypominają się wtedy świetne czasy wojewodzin-skiej rezydencji.

Kazimierz Rydzewski.

O. CONAN DOYLE.

## ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA JOHN ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE I PANA EDWARDA MALONA, CZŁONKA REDAKCYI „GAZETY PORANNEJ“.

c. d.

PRZEKL. ANG. M. G.

Przyniosłem zwój kory do ogniska, zaczęliśmy go razem oglądać. Miał on blisko stopę szerokości a na wewnętrznej stronie, osobliwe linje, (które odtwarza podany niżej rysunek), linje narysowane węglem. na białej powierzchni kory.

— Jakiegokolwiek znaczenie ma ten rysunek, osiągnębym, że jest dla nas ważny — odezwałem się. — Wyczytałem to z twarzy indjanina, gdy mi go podawał.

— Jeżeli tylko indjanin nie jest takim sobie pierwotnym figlarzem, jakich i u nas niebrak — odrzekł Summerlee. — Byłoby to już pierwszym krokiem do cywilizacji...

— Wygląda to na jakiś rodzaj pisma — zauważył Challenger.

— A raczej na konkursową zagadkę, wygrywającą gwineę dla odgadującego — dodał lord John, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

Lecz nagle wyciągnął rękę i rozwiązał „zagadkę“.

— Na świętego Jerzego! — zawołał, — zdaje mi się, że zgadłem. Chłopiec ma słusność... To rzecz ważna. Patrzcie, ile tu liści jest wyrysowanych na korce? Osiemnaście. Porachujcie, że w skale nad nami, jest także osiemnaście otworów do jaskini!

— I on też wskazywał na jaskinie, gdy mi to oddał — powiedziałem.

— Tak, wszystko się zgadza. To plan jaskini. Tak! Osiemnaście w jednym rzędzie; jedne płytkie, inne głębokie, inne jeszcze z wgłębieniami, ciągnące mi się w głąb skały jak widzieliśmy. To jest plan ich umieszczenia, a na tym końcu jest krzyżyk. Co on oznacza? Zapewne, że ta jaskinia głębsza jest od innych.

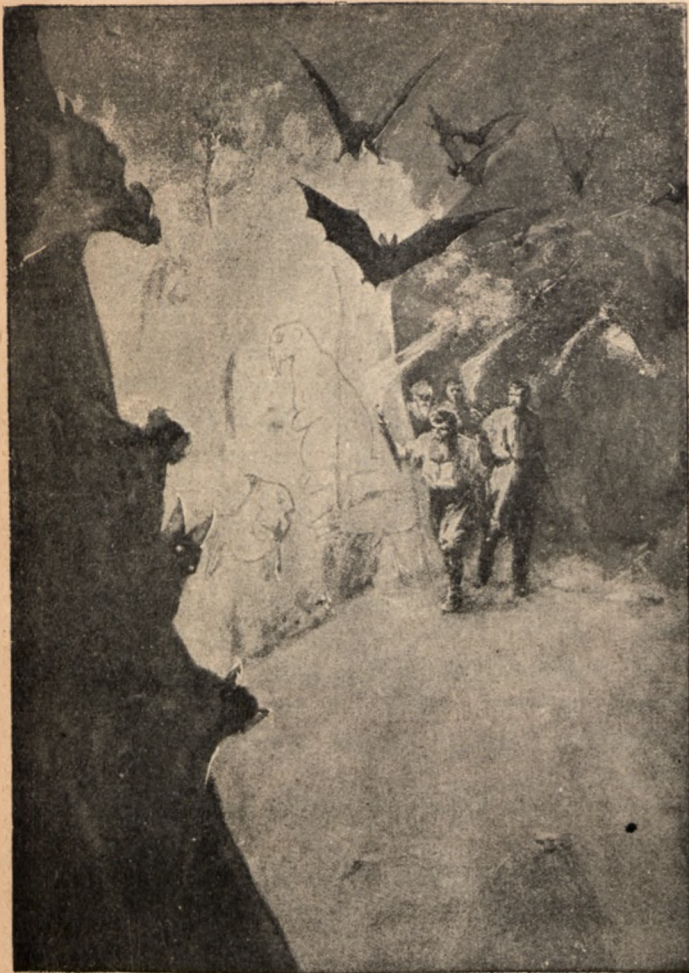
— Albo, że ma wylot na drugą stronę skały! — wykrzyknąłem.

— Sądzę, że nasz młody przyjaciel odgadł słowo zagadki — odezwał się Challenger. — Gdyby ta jaskinia nie miała wylotu na drugim końcu, nie pojmuje poco



Linje narysowane węglem na białej powierzchni kory.





Tylko chmary ogromnych nietoperzy zerwały się...

ten młodzieniec, który ma uzasadnione powody dobrze nam życzyć, miałby kłaść znak, zwracający naszą uwagę? A jeżeli ta jaskinia przechodzi przez całą szerokość skały i ma na drugim końcu wyjście, w takim razie, nie mielibyśmy więcej niż sto stóp, do spuszczenia się na dół...

— Sto stóp! — jęknął Summerlee.

— Nasza lina ma więcej niż sto stóp długości! — zawołałem. Możemy się spuścić bez żadnego niebezpieczeństwa!

— Ale co na to powiedzą indjanie?

— W tych jaskiniach nad nami, niema Indjan — objaśniłem. — Służą im one za śpichlerze i składy zapasów. Chodźmy zresztą zaraz i obejrzyjmy to na miejscu.

Na płaskowzgórzu rośnie pewien gatunek suchego, smolistego drzewa, rodzaj „arunkarji“ zdaniem naszych botaników, którego indjanie używają zamiast pochodni. Każdy z nas zabrał po wiązce tych drewek, poczem poszliśmy, po zarośniętych zielskiem schodach, do jaskini oznaczonej na rysunku krzyżykiem. Była zupełnie pusta, tylko chmary obudzonych nietoperzy zerwały się, spłoszone naszym wejściem. Nie chcąc zwracać uwagi indjan, szliśmy omackiem pewien czas, dopóki nie minęliśmy kilka zakrętów, i nie zapuścili się głęboko od wejścia.

Wtedy dopiero zapaliliśmy pochodnie. Byliśmy w pięknym, suchym korytarzu, o gładkich, szarych ścianach pokrytych rysunkami, z zaokrąglonem sklepieniem; biały, iskrzący piasek, pokrywał ziemię. Szliśmy

z pośpiechem, aż zatrzymała nas... skalista ściana! Nie było w niej nawet szczeliny, przez którą mysz mogłaby się prześlizgnąć. Nie było żadnego wyjścia!

Staliśmy gorzko zawiedzeni, przed tą niespodziewaną przeszkodą...

Tunel ten nie powstał skutkiem wstrząśnienia, jak tamten drugi, którym próbowaliśmy dostać się na płaskowzgórzu. Końcowa ściana była równie gładka jak boki i sklepienie.

— Mniejsza o to, moi drodzy! — przemówił niepokonany Challenger. — Macie w każdym razie moją obietnicę, zbudowania drugiego balonu...

Summerlee jęknął.

— Czyżbyśmy zabłądzili? — zapytałem...

— Wcale nie — odparł [Roxton, trzymając palec na mapie. Siedemnasta, licząc od prawej strony, druga od lewej... Ta sama, niezawodnie!

Spojrzałem na miejsce, które pokazywał palcem i wykrzyknąłem z radości.

— Już wiem! Napewno! Chodźcie za mną!

Pobiegłem napowrót tą samą drogą, świecąc sobie pochodnią.

— Tu zapaliliśmy światło — powiedziałem wskazując na spalone zapałki. — Jaskinia na planie rozgałęzia się w dwie strony, a my w ciemności minęliśmy to rozgałęzienie, przed zapaleniem pochodni. Druga odnoga musi mieć wyjście.

Odgadłem trafnie. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, ujrzeliśmy wielki, czarny otwór w skale. Weszliśmy tam i znaleźliśmy się w korytarzu o wiele szerszym niż poprzedni.

Biegliliśmy nim zdyszani ze wzruszenia, aż wśród ciemności zajaśniało nam jakieś czerwone światło...

Staliśmy zdumieni.

Czerwonawy blask zagradzał nam drogę... Lecz nie widzieliśmy żadnego drgania, nie czuli żadnego ciepła, od tej czerwonej zasłony, która stopniowo bladła, aż wreszcie zamieniła się w potok srebrnego światła, padającego na iskrzący, biały piasek...

— Księżyc! na świętego Jerzego! — zawołał lord John. — Jest wyjście, chłopcy! Jesteśmy wolni!

Tak, był to rzeczywiście księżyc w pełni, świecący prosto w rozpadlinę skały. Rozpadlina była szersza od średniej wielkości okna; średniego wzrostu człowiek mógł przejść przez nią z łatwością. Wsunąwszy głowy, przekonaliśmy się, że zejście na dół nie przedstawiało żadnej trudności, bo otwór jest niezbyt wysoko nad ziemią.

Nic dziwnego, że tej rozpadliny nie dojrzelśmy z dołu a potem uradowani, wróciliśmy do koczowiska, zając się przygotowaniem do jutrzejszej wyprawy.

Musieliśmy załatwić się z tem prędko i w tajemnicy, ażeby indjanie nie chcieli nas zatrzymać w ostatniej chwili.



3)

# SPIĄCA KROLEWNA.

Obrazek fantastyczny.

## AKT II.

W szesnaście lat później. Scena przedstawia małe pokój na wieży. Z czterech stron okna; dwoje drzwi, z których jedne ukryte w ścianie. Kilka zydaków — zresztą żadnych sprzętów).

### SCENA I.

Wbiega młoda królowa, wesoła, rozśpiewana, w powłóczystej jasnej sukni. Za nią ochmistrzyni i damy dworu.

KRÓLEWNA (*do idących za nią*)

Z całego zamku—przyznam paniom szczerze,  
Najlepiej lubię biegać na tę wieżę!

OCHMISTRZYNI (*sapiąc*)

Bardzo przyjemnie tu... bardzo przyjemnie...

KRÓLEWNA (*serdecznie*)

Pani się bardzo zmęczyła przeze mnie?

OCHMISTRZYNI (*rozczulona*)

O, nie zupełnie, mój kwiatuśku złoty!

KRÓLEWNA (*żywo*)

Nigdy nie mogę pozbyć się ochoty  
Patrzenia tędy w dal... (*wygląda oknem*)  
a stąd na drogę (*biegnie do drugiego okna*)  
Coś mnie tu ciągnie — doprawdy nie mogę!  
(*śmieje się*)

Może też ujrzę stąd pewnego czasu,  
Zakute hufce wychodzące z lasu  
Przy trąb odgłosie i huku moździerzy...  
(*klaszcze w ręce*)

Ach! jakbym chciała zobaczyć rycerzy!  
Jeśli nie wielu, to chociaż jednego!  
Już wiem! (*podskakuje*) takiego rycerza błędnego!  
Coby się u stóp zatrzymał tej góry...  
Na koniu, w zbroi, piękny i ponury  
I podniósł oczy... I rzekł mową śpiewną:  
— Przebacz, o piękna, nieznana królowo  
Śmiałość. Lecz odtąd walczyć tylko mogę  
Pod godłem twojem... (*wybuchając śmiechem*)  
...rzuć mi je na drogę!

Ja wtenczas cienką chustkę z koronki  
Szybko wyciągam tu z mojej kieszonki  
I mówię: Szczęście niech ci w boju służy...  
(*rzuca chusteczkę*)

PAŹ (*wbiegając*)

Król i królowa wracają z podróży!

KRÓLEWNA (*żywo*)

Ach jak to dobrze! Czy wracają zdrowi?

PAŹ

Tak jest. A z nimi jadą goście nowi,

KRÓLEWNA

Goście! ach, goście! jacy? skąd? zdaleka?  
(*wybiega*)

OCHMISTRZYNI (*z zadowoleniem*)

Wracają! kończy się moja opieka!  
(*wychodzi wraz z damami*).

### SCENA II.

Przez chwilę pusto — potem ukrytymi drzwiami wsuwa się jakaś ciemna, zgarbiona postać i siada w kącie.

KRÓLEWNA (*wracając, wola do pozostałych*)

Stąd ich najlepiej zobaczę za chwilę!  
(*patrzy oknem*)

O, poczet giermków, trębacz... a w tyle  
Karoca złota, a dalej... pancerze  
Błyszcą się w słońcu! (*z radością odwracając się*)  
Rycerze, rycerze! (*szmer w kącie*)

Kto tam?

WRÓŻKA

Służebną twoją, pani, będę...

KRÓLEWNA (*z niezadowolaniem*)

Skąd przyszłaś tutaj?

Co robisz?

WRÓŻKA

Len przędę.

KRÓLEWNA (*zdziwiona*)

Co to takiego?

WRÓŻKA

Włókno takie, pani,  
Z którego płótno tkają ci poddani.

KRÓLEWNA.

Nic nie wiem o tem... (*wskazuje wrzeciono*)  
a to co się kręci?

WRÓŻKA

To jest wrzeciono.

KRÓLEWNA

Wciąż szukam w pamięci  
I nie znajduję takiego wyrazu.

WRÓŻKA

Wszystkiego wiedzieć nie można odrazu.

KRÓLEWNA

Daj mi to w rękę... (*z okrzykiem*)  
ach! jakże to kłuje!

WRÓŻKA (*prostując się i odrzucając zasłonę*)

A los jest mściwy, swego nie daruje!

KRÓLEWNA (*chwiejąc się*)

Dwór! do mnie! prędeży!  
zobaczyłam stracha! (*padu*).

ZAWIŚĆ

Przyjemnych marzeń!

ha, ha, ha! ha, ha, ha!

(wybiega jednemi drzwiami, podczas gdy przez drugie wpada przerażona ochmistrzyni i damy dworu i wszystkie zasypiają odrazu w tych pozycjach, jak która stała)



## AKT III.

Po wielu latach. Scena przedstawia kruźganek zamkowy; w głębi wejście zasłonięte kotarą. Dwóch nieruchomych heroldów w postawach służbowych trzyma straż).

## SCENA I.

Wchodzi młody królewicz w pięknym stroju, w kapeluszu z wielkiem piórem i krótkim mieczem w ręku.

KRÓLEWICZ (*sposstrzega heroldów, podchodzi do jednego z nich i wstrząsa go silnie za ramię*)

Ocknij się przecie, człowieku, czy maro!  
Śpi!... (*podchodzi do drugiego*)

No, rusz-że się! Obudź się poczwaro!  
Śpi!... Cóż za dziwy! Zmysły prawie tracę!  
Przebiegam schody, podwórce, pałace.  
Śpi wszystko! Żaden listek się nie ruszy!  
I w całym zamku, ani jednej duszy  
Nie śpiącej! (*ze złością*) Muchy tu śpią na suficie!  
Jak cicho... Słyszę tylko serca bicie,  
A głos mój nawet nie wydaje echa;  
Krzyczeń im w ucho to mała pociecha!  
Jużem próbował; spróbujmy raz jeszcze  
(*krzyczy w ucho heroldowi*)

Hop! hop! Nie zadręgał. A tak przecie wrzeszczę!  
(*siada*)

Mówili starzy — jako rzecz jest pewna,  
Że śpi w tym zamku zakłęta królowna  
I przyjdzie chwila, gdy z odważnych ludzi  
Znajdzie się jeden, który ją obudzi.  
Kiedym to słyszał — w nocy mi się śniły  
Pędzące wojska, otwarte mogiły,  
Smoki, potwory, a wśród tego — ona  
Na złotej fali swych włosów uśpiona.  
(*z żalem*)

I cóż? Zwalczyłem dziecinne oblawy,  
Rzuciłem dwór mój, gonitwy, oblawy  
I niby skrzydła zakłęte mnie niosły  
W ten zamek dziki, borami obrosły,  
Co śmiałków tyłu stał się grobem pono.  
I cóż? gdzież znajdę tę moją uśpioną?  
(*ze smutkiem*)

Minął już wieczór i zbliża się ranek,  
Przebiegłem każdy ganek i kruźganek —  
Niema — i niema... Jak sobie poradzę?

MIŁOŚĆ (*ukazuje się przy przeciwległej ścianie*)  
Za mną... chodź za mną... ja cię poprowadzę...

KRÓLEWICZ (*norywając się*)

Cóż to za postać? jak zjawisko mglista  
Płynie przede mną — lekka i świetlista...  
Ktoś jest? Blask pada od twej cudnej szaty  
A idąc gubisz po twej drodze kwiaty...

## MIŁOŚĆ

Ach, cóżby ci przyszło z tego  
Snu młodości, snu pięknego  
Gdyby zaraz od zarania,  
Zbrakło tobie ukochania,  
Co na wieki trwa.

(*odwracając się*)

Jam mocniejsza nad zwątpienie  
Nad ból, nad grom, nad płomienie,  
Nad śmierć nawet — ja!

(*dotyka zasłony*).

## SCENA II.

Zasłona się rozsuwa i ukazuje śpiącą królownę.

KRÓLEWICZ (*rzucając się na kolana*)

Shukałem ciebie — z nadzieją, z rozpaczą,  
Niepewny, czyli cię oczy zobaczą  
Czy zginę marnie.

Głosem miłości ku tobie wiedziony  
Przez ból i trwogę zaszedłem w te strony  
I przez męczarnie.

Budzę cię, piękna; wiem, że cię nie zbudzi,  
Prośba, ni rozkaz tych, co przejdą ludzi  
Chłodnych jak skała,

A zbudzą moje zakłęcia gorące,  
Bo miłość stoi nad nami, jak słońce  
W promieniach cała.

(*całuje ją*)

KRÓLEWNA (*budząc się*)

Ach... jakbym chciała zobaczyć rycerzy...  
Jeśli nie wielu... to chociaż jednego...

(*podnosi się*)

Już wiem — takiego...

(*sposstrzegając królewicza*)

ach, właśnie takiego!

KRÓLEWICZ (*pochylając głowę*)

Pani!

KRÓLEWNA

Czy ja długo spałam?  
Czy to sen jeszcze? bo cudne sny miałam;  
Zawołać niani — niech mi sny wywróży...

PAŹ (*wbiegając*)

Król i królowa wrócili z podróży.

(*zasłona spada*)

Kurpianka.



## O miłości ojczyzny.

(GŁOS MŁODEGO DO MŁODYCH).

Bardzo wiele mówi się i pisze, jak to trzeba kochać ojczyznę, jak ją trzeba miłować by zostać jej wiernym dzieckiem. Miłość jednakże ojczyzny, tylko w sercu i słowach nie wystarcza. Miłość ojczyzny winna być uwieńczona czynami. Oto nie trudno. Trochę dobrej chęci i poświęcenia, a reszta — „czyn“ — sama z tego wypłynie.

Przypatrzmy się ludom bałkańskim, jak święcie i odważnie bronią swej sprawy. Jak drogą jest dla nich ojczyzna.

Przypatrzmy się również braci z Poznańskiego, która tak mężnie staje w obronie drogiej nam ojczyzny. O, cześć im i gorąca zachęta do dalszej, ciężkiej pracy.

Miłować ojczyznę winien każdy. Czy starzec nad mogiłą stojący, czy mąż w sile wieku, czy też młodzieniec pełen gorących uczuć — każdy wedle sił i możliwości. Ten ostatni jednakże, najwięcej winien się starać w służbie dla sławy ojczyzny, dla dobra rodaków i bliźnich. W nas, młodzieży, starsi nadzieje pokładają. Z nas jeśli nie teraz, to w przyszłości ma się cieszyć i chlubić ojczyzna.

Za lat kilkadziesiąt, jeżeli nam osądzone doczekać, zostaniemy spadkobiercami myśli i uczuć naszych ojców i pra-ojców. Musimy się pilnie i uważnie przyglądać ich pracy, ich zabiegom około dobra kraju, aby w przyszłości puste luki i błędy przez nich popełnione zapełnić i poprawić; by aureola ongi sławnej Polski zajaśniała gorącą, prawdziwą miłością — młodych pokoleń.

Teraz młodzi jesteście do wielkich prac może niezdolni, ale „mierzymy siły na zamiary“ i w Imię Boże czynmy co możemy — by miłość naszej ojczyzny, jak powiedziałem wyżej w czynach się wydatniła.

Pole do pracy jest obszerne.

Weźmy w niej udział i my, młodzi, czerstwi i zdrowi.

Chętnie pomagajmy tym, którzy naszej pomocy i rady potrzebują. Tyle jest młodzieży wiejskiej, która nie zna ani jednej litery — uczmy ją!

We dworach nie brak panierek i paniczków, którzy szkoły pokończywszy, siedzą próżnie w pokojach. Dobrze tak, wiem o tem, chociaż sam szczęścia tego nie zaznałem. Ale czy nie lepiej i piękniej byłoby „nieść kaganiec oświaty“ pod strzechy biednych wieśniaków? Co uczynimy dla swego brata-rodaka, tak samo jakbyśmy uczynili coś dla swej ojczyzny. A jeśli tak, czyż nie będzie to prawdziwa, miłość ojczyzny?...

Bardzo wielu naszych rodaków śpieszy za granicę „na zarobek“. Nie będąc uświadomionymi idą otwarcie na tułaczkę i nędzę — opuszczając ojczyznę. Na ich miejsce śpieszą przybysze, wrogowie nasi, Niemcy i Żydzi.

Młodzieży rozumna! Ostrzegaj łatwowierną ludność przed wyzyskiem. Nie daj jej uchodzić z ziemi ojczy-

stej, a wiele tem szczęścia ojczyźnie swej przysporzysz i w księgę prawdziwych jej miłośników zapiszesz się — nie wpuszczając zdrajców na zagony krwią polską przesiąknięte.

Bardzo wiele jest jeszcze sposobów, którymi czynnie swą miłość dla matki-ojczyzny okazać możemy. Czyńmy zatem to, co nam sumienie i Wiara święta dyktuje.

Kochając Boga nadewszystko, później ojczyznę, a rodaków wszystkich bez różnicy, jak siebie samych, pamiętajmy o tem, że w nas swoje nadzieje pokładają... Młodzieży! Dla miłości ojczyzny do czynu podnieśmy ręce — „przed nami praca, nad nami Bóg“!

On tak każe, a kto Jego nie słuca — jest wiaromcą!

Któż z nas chciałby nim być!...

*Sebastjanus.*

## Inne czasy.

Zdarzyło mi się niedawno, iż znalazłam się podczas rekreacji, na korytarzu jednego z żeńskich zakładów naukowych.

Wysypały się panny rojem i gwarząc, śpiewając, poszeptując, przebiegały od sali do sali, z piętra na piętro.

Młode to życie, rozśmieszona — zupełnie jak i my bywałyśmy ongi, ale —

Ale jakaż ogromna różnica w zewnętrznym wyglądzie. Nam mówiono, iż szkoła, to nie sala balowa i panny uczęszczające na wykłady powinny być skromnie i przyzwoicie ubrane, a teraz — w szary, jesienny poranek widzimy uczennice poczesane jak do teatru lub na bal, bluzki wydekoltowane, na rękach bransolety z wisiorami.

— Inne czasy!... myślę zadumana i przyglądam się baczniej grupie uczennic, stojącej obok. Szpilek, grzebyków, kokard we włosach moc niezliczona, wymięte kołnierzyki koronkowe, szyjki odsłonięte... lecz brudne... suknie spętane, zmięte, ostrzępione dołem.

— Inne czasy! powtarzam z westchnieniem... nam mówiono, iż szkoła, to świątynia pracy poważnej, nie salon do kokieterji.

## WESOŁY KĄCIK.

### FATALNA OWACJA.

Wielki lekarz szkocki, wynalazca chloroformu, dr. Simpson, profesor przytem uniwersytetu w Dublinie, oznajmił swoim słuchaczom, iż go zaszczycono tytułem nadwornego lekarza królowej.

— Cóż wy na to, panowie?

Studenci w odpowiedzi zaśpiewali chórem hymn narodowy angielski, zaczynający się od tych słów:

— Boże! ochroń królowę!





Toś ty naprawdę wesoło spędził święta, kochany *Mroku*, i nie dziwię się wcale, że mama twoja położyła tej wesołości tamę, przypominając obowiązki szkolne, które wreszcie, jak sam mówisz: „nie są zbyt trudne, a zawsze zajmujące“. To też nie daj się „niemcowi“ niech wie, żeś ty od niego silniejszy, mocen wyrwać mu potrzebną ci „czwórę“.

Żądasz, *Liro*, szczerzej odpowiedzi, a więc szczerze odpowiadam: grzeczność i pewne towarzyskie formy obowiązują zawsze ludzi dobrze wychowanych, ale konieczności zawierania bliższych stosunków bynajmniej w tem niema. Nie zawiązuj więc znajomości, ale skoro zawiążesz — szanuj je. Trwałość życzliwych stosunków z ludźmi powinna cechować dom każdy, bo inaczej stanie się on podobny domowi przechodniemu, przez który bez śladu i wrażenia, każdy dowolnie przejść może. Ty zaś *Liro*, tymbardziej powinnaś być ostrożną w zabieraniu znajomości, że, pomimo, iż dom jest *twój* i masz przy sobie starszą, poważną osobę — młody twój wiek i niedoświadczenie, może być przyczyną wielu przykrości. Grzecznie więc ze wszystkimi, lecz lepiej zdaleka. Co do książek francuskich — wymienione przez ciebie są zupełnie odpowiednie. Za zaufanie do mnie wdzięczną ci jestem, bądź pewną, że nie zawiedziesz się nigdy.

Jakżeś ucieszyła mię miłym swym liścikiem kochana *Sroczo z nad Baltyku*. Naturalnie, kochanko, że na przyszłość bądź uważniejszą, gdyż sama widzisz, jak trudne są nasze warunki, ty zaś na swym posterunku odpowiedniem zachowaniem się, bardzo korzystnie na koleżanki-rodaczki oddziałać możesz i one kiedyś wdzięczne ci będą za to.

Z radością widzę, że naprawdę chcesz być dobrą Polką, z żądanych więc podręczników radzę ci „Gramatykę Dzierżanowskiej“ i „Zbiór dyktand Boguckiej, Niewiadomskiej, Warnkównej“. A czy trwasz dziewczeczko nadal w chwalebny zamiarze oddania się gałęzi gospodarczej? Gałęź to ważna niezmiernie, bo stanowi o zdrowiu, dobrobycie, a więc prawie szczęściu rodziny; życzyć przeto należy, aby jak najwięcej dzielnych kobiet-gospodyń między nami było. Zasyłam ci *Sroczo* serdeczne ucałowania; a nie daj mi ptaszynko tak długo znów czekać na list.

Prawda, *Szalona Patko*, że jesteś siostrzyczką szczebiotliwej *Sroczki*? Wyobrażam sobie, jak u was w domu musi być wesoło, zwłaszcza w chwili, gdy obie się bawicie. Tymbardziej ci więc jestem wdzięczną, że ujmując chwilę miłej zabawy z rodzeństwem — obróciłaś ją na skreślenie listu do Przyjaciółki, która często myślała o twoim paluszku, wszakże znaku już po owem skaleczeniu niema, prawda? Co do pytania o istocie szczęścia, to doprawdy, nie rozumiem, za co ta panienska dostała burę, gdyż moje pojęcie o szczęściu jest podobnie i na jej miejscu, tak samo bym odpowiedziała. W przyszłym liście napisz mi co czytasz, co robisz poza lekcjami i jakie są twe zamiary na przyszłość. Uścisk łączę ci dziewczeczko, a za ładną kartę i życzenia noworoczne serdecznie dziękuję.

Stanowisko — *Kujawiaku* — wobec każdego z kolegów powinno być nacechowane uprzejmością, życzliwością i taktem, dwóch miar tutaj być nie może i nie powinno. I w tym wypadku powinienes zachowywać

się tak, abyś i w sumieniu swem i wobec każdego mógł być bez zarzutu. Popieranie zresztą przemysłu i handlu swojskiego, nie wyklucza bynajmniej grzeczności, obowiązującej każdego kulturalnego człowieka wobec innych, choćby nawet przeciwników, Owszem, niech widzą oni nasze dodatnie strony pod każdym względem, niech wyższość nasza zniewala ich choćby wbrew ich woli, do uchylecia czoła.

*Jutrzenka* zdobyła się wreszcie na liścik! Poprzeźdnie więc lenistwo wybaczam ci tem chętniej, że pragnieniem twem jest służyć Ojczyźnie i zawczasu już zaprawiasz się do tej służby, opiekując się biednymi dziećmi. Bardzo mię to cieszy *Jutrzenko*, ale czy do nauki, zwłaszcza polskiego języka przykładasz się gorliwie? Oj, chyba nie bo w liściku są błędy... Ale to nic, bo kochana *Jutrzenka* poprawi się, będzie się uczyła i język swój pozna, tak, jak na prawdziwą Polkę przystało, wszak prawda? Napisz mi kochanie ile masz lat i czego się uczysz.

Piszesz *Dolores*, że przez śmierć ukochanej osoby straciłaś cel życia — nie, dziewczę drogie, to nie jest możliwe: być może, że straciłaś jeden ze środków, wiodących do tego celu, ale tylko *jeden środek*, a jest ich przecie tak bardzo dużo! Dusza twa wrażliwa i gorąca, żadna czynu — znajdziesz więc zawsze ujście dla umiłowanej cię do szukania z niej materialnych korzyści. Nie, *Dolores*, tyś szczęśliwa, bo masz olbrzymie pole i wiele sposobności stać się pocieszycielką nieszczęśliwych, nieść pomoc cierpiącym biedakom, opuszczonym w szpitalach (wszakże z takim współczuciem o nich mówisz?) Masz wiele filantropijnych, a niezamożnych instytucji, które pożąda i proszą społeczeństwo o bezinteresowną pracę. Widzisz więc, jak wiele posterunków oczekuje na ciebie, jak wiele rąk wyciąga się z błagalną prośbą o ulgę. I oto otwiera się święty, dostoyny cel w twem życiu!

Tak, to rozumiem, *Benie*, list obszerny, szczegółowy i bez błędu — takie przysyłaj mi zawsze.

Ale pragnienia twego silnego mrozu nie podzielam wcale. Bo pewnie, że przyjemnie tobie ciepło odzianemu używać zimowych sportów, lecz co mają wtedy robić ci, pozbawieni ciepłego mieszkania, zimowej odzieży, często nawet gorącej strawy, biedacy? O, oni znowu wdychają:

„Aby tylko nie było mrozów, aby lekka zima!“

Dobrześ zrobił, urządzając szopkę bez djabła i śmierci, które to postacie bardzo nieprzyjemnie na wrażliwsze dzieci oddziałują, a wcale do upiększenia przedstawienia się nie przyczyniają, przeciwnie, szpecą je swemi osobami.

Za życzenia dziękuję i nawzajem takowe załączam. A dlaczegoż to siostrzyczka twa do mnie nie pisze?

*Przyjaciółka.*

OD ADMINISTRACJI. Prosimy naszych zamiejscowych prenumeratorów, aby byli łaskawi pod adresem administracji naszej Krakowskie-Przedmieście 64, nadsyłać prenumeratę na r. 1913.